29. Marca. **Nr. 22.** 1868 roku.

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**

Cena:

kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „

Z dodatkiem:
kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

III.

Między Stambułem a jego europejskiem przedmieściem, zwanem Pera, Bosfor wciska się w ląd odnogą znaną pod nazwiskiem Złotego rogu. Po nad nim wznosi się długi most drewniany, stawiany bez wszelkich pretensyj do estetyki, a może i do wysokiej techniki. Ten most służy za główną komunikacyjną drogę pomiędzy starem miastem i nowemi przedmieściami, a zarazem i za źródło dochodów dla rządu. Każdy kto przezeń przechodzi winien jest zapłacić przy budce strażniczej 5 para, najmniejszą monetę turecką, której idealna jedność nie istnieje wcale odrębnie. Piastr wyrównywa 12 groszom polskim, 5 para jest ósmą częścią piastra. Jest to więc bardzo mała wartość pieniężna; zważając jednak na to, iż most jest prawie ciągle napełniony tłumem idącym w tę lub ową stronę, wynosi w sumie dochód bardzo znaczny. Jest tylko jedna rzecz ciekawa: w jaki sposób Turcy prowadzą kontrolę tego poboru pomostnego? gdyż o sprzedaży biletów nie ma mowy... Idący wręcza do ręki pieniądz strażnikowi, i na tem się cała formalność kończy. Kontrola więc należeć musi jedynie do Allaha, który patrzy z góry na ludzkie postępki, i ma w ręku siłę karania. Ale Allah, jako dobry turek lubi także czasem tureckie *far niente*, i na tem zapewne kontrola nie zyskuje.

Do tego właśnie mostu przybił parostatek. Weszliśmy nań, ja i mój kapitan, i udaliśmy się w stronę przedmieścia. Wtedy to uderzyło mię po raz pierwszy chaotyczne, mrowie życie ulic Stambulskiego przedmieścia. Z ciasnych, wysokich, ciemnych uliczek Galaty (handlowa część przedmieścia) buchał ku nam tłum, o najrozmaitszych typach, strojach, barwach i kolorach, istna procesja maskarady!... Nie mogłem ukryć podziwienia, i spytałem mego kapitana: co by mógł być za powód tego zbiegowiska i tej procesji?

— Zaraz pan ujrzysz, to zbiegowisko, — odpowiedział mi — na wszystkich główniejszych uliczkach przedmieścia.

Weszliśmy w błotniste uliczki Galaty. Potrzeba było rozmijać się na każdym kroku, przeciskać się przez gęsty tłum lawiną toczący się z góry, potrzeba było jednem słowem walczyć o przejście. Wtedy mię to niezmiernie bawiło. Po szerokich ulicach naszych miasteczek, po których najczęściej tylko wicher samotny przejeżdżał się swoją wichrową czwórką, ten ścisk, ta pstrość kolorów, ten gwar nieco dziki, który mię tu otaczał, wszystko to dziwnie mię uderzało i bawiło. Ale na zabawę i robienie spostrzeżeń nie było czasu... Mój kapitan prowadził mię do swego znajomego, któremu miał mię poruczyć, a ten miał mi dać rozmaite wskazówki, potrzebne dla nowo przybywającego; sam zaś Signor Giuseppe śpieszył napowrót do statku.

Weszliśmy do tego znajomego, który był zegarmistrzem. Rekomendacja moja była bardzo krótką. Obiecano mi dać wszelkie wskazówki, i kapitan po kilku minutach rozmowy zabierał się do wyjścia.

Sześć dni spędzonych na morzu, na jednym okręcie, może bardzo zbliżyć ludzi do siebie. Spostrzegłem to dopiero w chwili, kiedy mój kapitan chciał nas opuszczać. Nie odczuwałem dlań jakiejś szczególnej przyjaźni, ale smutno mi się zrobiło bardzo na myśl, że go żegnam bez nadziei zobaczenia kiedykolwiek. Smutek mój był tem zrozumialszy i tem większy, że kapitan był jedynym znajomym, jakiego miałem w całem tem ogromnem mieście. Rozstawać się z tą jedyną znajomością i zanurzać się w wir nieznanego a potwornego miasta było mi bardzo przykro. Pożegnałem go omal że nie ze łzami, i dałem mu swoją fotografię, sam nie wiem dla czego.

Do Stambułu przyjechałem nie jako podróżnik z wiecznie zadartą głową, i pince-nez na nosie, ażeby broń Boże czegoś nie prześlepić u góry, o dół się troszcząc nie wiele; ani jako handlarz wędrowny, który dzień każdy jak butelkę odkorkowuje, a spełniwszy do dna, rzuca za siebie jako naczynie bez wartości; ani jako dyplomata dla innych zamyślony, a sam do siebie uśmiechnięty — do Stambułu przyjechałem jako człowiek, który za siebie oglądać się nie może, a przed siebie gotów jechać dopóki potrafi. Bez planu w głowie, bez nadziei w sercu, z resztkami jeszcze jakiejś energji nie bardzo wesołej, płynąłem przed siebie, i dopóki byłem w ruchu, dopóki wrażenia zewnętrzne podawały mię z rąk do rąk sobie, póty rozład wewnętrzny milczał jak niemowlę, kiedy je kołyszą; ale kiedy to niemowlę przestano kołysać, kiedy chwilowy brak wrażeń zewnętrznych kazał mi zejść wewnątrz i zaglądnąć do różnych komórek serca, to poczynało się jakieś ciężkie targanie wewnętrzne, jakieś poczucie braku, jakaś tęsknota stóramienna, wszystkie sto ramion wyciągająca przed siebie.

Takiego uspobienia byłem pierwszych dwóch, lub trzech dni po przyjeździe do Konstantynopola. Nająłem jakąś lichą izdebkę na drugiem czy też trzeciem piętrze, prawie bez żadnych mebli, z wyjątkiem tapczana i złamanego stolika, i zamknąwszy się w tej izdebce, nie chciałem widzieć nikogo i o niczem słyszeć. Obojętność obcych przy mojem rozdrażnieniu wydawała mi się prawie obelgą; znajomych nie miałem, ale gdybym ich miał nawet, to wątpię czyby mi byli pożądanymi gośćmi. Pragnąłem przedewszyst-

kiem samotności i ciszy. Położywszy się na tapczanie twarzą do sufitu, puszczałem wszystkie sprężyny minionych wrażeń, świeżych jeszcze a bolesnych wspomnień, i rzecz dziwna! spotykało mię to, co spotyka często cierpiących silnie na zęby, którzy nie starają się bolu zahamować, a cierpliwie przenoszą największe jego wysilenia, to jest, że ból doszedłszy do swego zenitu zaczynał chylić się i kłaść się, i następowało uspokojenie takie, jakie bywa zwykle po przejściu gorączki, a więc: biorące początek w znużeniu.

Samotność mię uleczyła. Po dwóch dniach już czułem się silniejszym, i począłem wychodzić ze swojej izdebki i rozglądać się po mieście. Okazało się, że mam znajomych, i ci odtąd stali się moimi nierozłącznymi towarzyszami. Szczególnie jeden z nich, którego nazwę tutaj Mackiem, serdeczny chłopiec, zamieszkały już od niejakiego czasu w Stambule, był mi ciągłym towarzyszem i przewodnikiem zarazem. Z nim radziłem także o tem, co mam począć, dokąd się udać, gdzie ostatecznie rozpiąć swój namiot wędrowny, i wypadło nakoniec z narad, że mam się udać do Włoch. Już to Włochy dawno mię nęciły do siebie, i byłem rad bardzo, gdy mi ktoś radził tam jechać. Postanowiłem więc zabawić jeszcze parę tygodni w Stambule, dla bliższego zaznajomienia się z tem miastem ciekawem, a potem puścić się morzem do pożądanej Italji.

Europejska część Stambułu, to jest to przedmieście jego Pera, o którem już wspominałem, jest dziwną mięszaniną dwóch cywilizacyj: zachodniej i wschodniej. Porządne sklepy, pyszne kawiarnie, opera włoska: wszystko to wzięte z Europy; europejskie twarze i stroje dają się spotykać na każdym kroku, a jednak nie one nadają barwę tłumnym i rojnym uliczkom przedmieścia. Najbardziej pospolitą i typową postacią tych uliczek jest hamał, co w wolnem tłumaczeniu znaczy wół-człowiek, istota najmująca się do dźwigania i przenoszenia wszelkich ciężarów. Hamał zatem w Stambule dźwiga to, co gdzieindziej dźwigają woły, lub konie. Strój hamała, jeżeli łachman strojem nazwać się godzi, składa się z kawałka płóciennej koszuli i szczątków spodni niewiadomego koloru zaledwie sięgających do kolan. Na tę swoją odzież musi się hamał zapatrywać jako na konieczne ustępstwo wymaganiom wyższego świata, pełnego jak zwykle, przesądów, jako na symbol konwencjonalny, gdyż odzież ta ani go ozdabia, ani go odziewa, ani go okrywa dostatecznie. — Potężne muskuły wyglądają z poza łachmanów, i świadczą o niezmiernej sile tych wołów-ludzi. Hamałem jest najczęściej arab, wyznawca Allaha, który coraz to bardziej zapomina o wiernych i w coraz to większą podaje ich poniewierkę. Ale hamał zgadza się ze swoją dolą najzupełniej, i bluźnierstwo ust jego nigdy nie oszpeci. Ja myślę, że hamał nie zazdrości nawet innym ludziom, uważając siebie za coś *a parte*, za coś osobnego, za coś z góry przeznaczonego do dźwigania ciężarów. Zresztą rozmyślaniom się hamał nie oddaje, już jako dobry muzułmanin, już jako człowiek, który jedynie plecami pracuje. Siła tych pleców jest niesłychaną; widziałem jak dźwigali na nich ogromne ciężary, które wypadało poruczyć sile dwóch koni. Mówiono mi, iż tę siłę swoją nie podtrzymują wcale obfitem jedzeniem, ale częstem użyciem kawy, rozumie się, na turecki sposób przyrządzonej. Piją ją kilka razy na dzień, za cały pokarm mając placki o tłuszczu baranim, sprzedawane na ulicach Stambułu. W ogóle postać hamała wywiera smutne wrażenie; zupełna prawie bezmyślność, nieruchomość moralna jest charakterystycznym wyrazem ich twarzy. Tem boleśniej jest pomyśleć, że ci ludzie należą po największej części do tak zdolnej, do tak pięknej rasy, jaką jest arabska.

Po hamale drugą charakterystyczną postacią jest *kawas*, milicjant turecki. Jak tamten prowadzi życie czynne i uciążliwe, tak ten jest zwykle próżniakiem, i tylko z obowiązku przechadza się po ulicy. Pełność ciała i okrągłość policzków świadczy o dobrym ich bycie. Niebieskie kurtki i szerokie niebieskie hajdawery, u dołu w kamasze ściągnięte, stanowią strój ich bardzo wygodny i malowniczy. Pod wyrazem lenistwa i ospałości przegląda im w oczach czasami przebiegłość, chytrość i podejrzliwość, ale nie zwyczajna przebiegłość ludzka, bardziej: jakaś źwierzęca, kocia, która w dziwnej idzie parze z ich powolnością i pobłażliwością, co nie jest wyłączną cechą kawasów, ale ogólną zarazem rasy tureckiej.

Poganiacze mułów i koni do wynajęcia i wędrowni przekupnie zbliżają się pod względem stroju i w ogóle powierzchowności do hamałów; mają jednak więcej ożywienia, co jest następstwem mniej uciążliwego ich zajęcia.

Poganiacze mułów zastępują całą klasę woźniców tak liczną gdzieindziej; funkcja ich jest dość zabawną, a zależy na tem, że po wynajęciu konia lub muła, biegną z tyłu za jadącym i popędzają zwierzę do szybszego biegu, sam zaś jadący nie mięsza się wcale do tych wewnętrznych spraw poganiacza ze swojem źwierzęciem.

Fiakrów europejskich Stambuł nie posiada; parokonna kareta jest wielką rzadkością i zdradza ministerjalne pochodzenie. Najbardziej w użyciu, szczególnie u kobiet, jest lektyka, niesiona zwykle przez dwóch hamałów. Jest to mała karetka, możnaby powiedzieć krzesełko kryte, oparte na dwóch drągach. Idący między temi drągami na przedzie hamał, rostrąca przechodniów, powtarzając co chwila ponurym i jednostajnym głosem włoskie *guarda* (strzeż się!) Kto się nie strzeże, dostaje nieraz silnego szturchańca w bok czy też w plecy, ale w tym ścisku szalonym nie przychodzi nikomu na myśl zapalać się gniewem przeciwko szturchającym.

Jeżeli lektykarze powtarzają często swoje *guarda*, to już włóczący się przekupnie napełniają powietrze najdzikszemi i najhałaśliwszemi okrzyki. *Su dżi!* tureckie (świeża woda!) najdonośniej słyszeć się daje w pośród najrozmaitszych co do słów i muzyki wołań. Ten ścisk, hałas i rozmaitość strojów tworzą istny chaos na uliczkach przedmieścia, chaos, który długo bawić nie potrafi, i bardzo prędko nużyć i dokuczać zaczyna.

Jedną jeszcze z charakterystycznych postaci uliczek Stambułu, postaci już nie ludzkich, a zwierzęcych jest pies. Pisano już i mówiono wiele o dziwnie opiekuńczem obchodzeniu się Turków z psami, i to wszystko co pisano i mówiono jest prawdą. Dzięki tej protekcji, psy stambulskie posiadają własności i przymioty nieznane psom innych krajów. A to naprzód: nie patrzą na ludzi jako na swych groźnych panów, ale bardziej jako na hołdowników,

i dla tego nie mają wcale zwyczaju ustępować z drogi idącym, a nawet jadącym. Poruszyć psa leżącego z miejsca uważa się za niedelikatność, uderzyć go kijem albo nogą za niegodziwość; zabicie psa pobudza Turków do zemsty nad zabójcą. Dla tego też w pośród ścisku i trącania się ustawicznego na uliczkach Pery, jedne psy wychodzą zawsze cało i spokojnie.

Z powodu długiego korzystania z opieki tureckiej, psy stambulskie urządziły się, powiedziałbym, politycznie. Każda ulica jest własnością pewnej gromady psów, i natręt z obcej ulicy jest groźnie witanym i nie uchodzi bezkarnie z obcego terytorjum. Można się domyślać, że te psie instytucje polityczne nie wpływają zbawiennie na bezpieczeństwo po nocy chodzących ludzi. A po nocy rzadko się chodzi w Stambule, i byłoby niesłusznie obwiniać psy tylko o zagrażanie bezpieczeństwa ludzkiemu. (C. d. n.)

Pieśni z bandurki.

I.

Dziwnie, smutno dziś na stepach,
Pustki w całem Zaporożu,
Noga błądzi po czerepach
Wykopanych na rozdrożu.

Nie z torbanu mogił pieśni,
Lecz z bandurki dzisiaj dźwięczą,
A te dumki z starej pieśni
Jakoś dziwnie światu brzęczą.

Do torbanu moja ręka
Już niezdolna i niepewna,
Po bandurce lepiej brzęka.
Z niej pieśń także spływa rzewna.

Kozak zginął wraz z torbanem,
Konik w stepie bez opieki,
I z ostatnim Atamanem
Ród mołodców znikł na wieki.

Z hardych synów kość spruchniała,
Na kureniu burzan rośnie,
Z wielkiej sławy, pieśń została,
Jęczy wnukom dziś żałośnie.

Wielkie czyny, lata zćmiły,
Sława stepu już przebrzmiała,
Z tylu wspomnień, dziś — mogiły!
Dumka jedna pozostała.

I ci wieszcze, co tu pieli
Z Ukrainy dawne wieści,
Jakoś dzisiaj zaniemieli,
Ze starości, czy z boleści...

Dawniej czyny pieśń sławiła,
Dziś wspomnienia tylko budzi,
Niegdyś przyszłość pieśń wróżyła,
Dzisiaj przeszłość duszę nudzi...

Jakiej dźwigni trza dla ducha,
Aby w kraje marzeń wzlecieć?
Jakiej pieśni trza dla ucha,
Aby dawne życie wzniecić?

Któż do gęśli pierś nastroi,
Aby wygrać pieśń natchnienia?
Kto serdeczne rany zgoi
I hymn zabrzmi pocieszenia?...

Hej! rozkopmy mogilniki,
Atamana znajdziem może!
Stotysięczne hukną krzyki,
Z echem pójdą aż za morze.

Hej za morze! hej za Dunaj!
Tam są bracia z Słowian szczepu!
Rżyj koniku, w polu hulaj,
Zmiataj nóżką prochy stepu!

Nieśmy pomoc braciom rodnym!
Wszak to nasza krew tam płynie,
znów hukniem chórem zgodnym
Pieśń wolności Ukrainie!

II.

Dawno, dawno, sto lat prawie,
Liczba latek jest bez liku,
Po tym stepie w bujnej trawie
Pływał kozak na koniku.

I od Dniepru aż do morza,
Od Wołoszy po Oczaków,
Panem był on Zaporoża,
Stróżem stepu naszych szlaków.

Gdy niesforny gość Budziacki
Krzywą szablą postrach sieje,
Zagrożony był kraj lacki;
Gdy z północy burza wieje —

Wówczas kozak jak na gody,
Krew mu winem a bój tańcem,
W czwał przez stepy, w pław przez brody,
Sunie w pogoń za pohańcem!

Po Limanach, Zaporożu
W oczeretach, na rozdrożu,
W czystym stepie, na czaharach
I w kijowskich tam pieczarach,

Nad Dunajem, w sinych wodach,
Kędy Dniepr do morza bieży,
Rozrzucona po słobodach
Kość kozacka biała leży...

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

R. Th.

BAL.

Tysiąc świateł gore w sali,
I źwierciadeł tysiąc płonie.
Wśród powonnej kwiatów fali
O bijącem, śnieżnem łonie
Tysiąc dziewic jak lilije,
Co strzeliły z łąk o wiośnie,
Stasio ujrzał swą Maryję.
Przybiegł, drżącą podał dłoń.
Ona wita go miłośnie
I z kochankiem wpada w toń...

A muzyka gra w krużganku
I niebiański leje czar —
I w przecudnym żywym wianku
Już wiruje tysiąc par.

„Czy ty czujesz, jak ten taniec
Pierś rozpala, Stasiu drogi?“
„— Luba moja! gdzieś na kraniec
Świata lecę, między bogi!
Tak roskosznie przy twym boku,
Że nie widzę w koło nic —
Prócz miłości w twojem oku
I rumianych twoich lic.“

Struny pękły. Całe grono
Zatrzymało się zaklęte.
Marji silniej bije łono,
A usteczka drobne, wcięte,
Coś tam szepcą mu do ucha
O miłości dziwnym śnie.
Upojony Stasio słucha
I jak kwiaty słowa rwie.

„Więc mię kochasz mój aniele?“
„— Luby! czemu pytasz jeszcze?
„Bo słów takich nigdy wiele,
Bo ja niemi tak się pieszczę,
Jak dziecina snem złoconym,
Bo je czuję luba, tu!
Tu w mem sercu rozmarzonem,
W którem brakło teraz tchu!“

„— Kocham, kocham...“ „Będziesz wiecznie,
Aż do śmierci?“ „— O! przez wieki
Będę kochać cię serdecznie,
A gdy zawrę już powieki,
To i w grobie, nawet w grobie
Serce dla cię będzie bić,
I myśl moja, ach! o tobie,
Mój najdroższy! będzie śnić.“

Słowa ścichły, bo w krużganku
Znów czarowny gędźby gwar,
I w przecudnym, żywym wianku
Znów wiruje tysiąc par.

Paryż, r. 1867. *AJO.*

Krótka historja długiej miłości.

Wzrokiem swoim go paliła,
Słówko gdyby tylko rzekła,
Byłby w staw Pełczyński wskoczył,
Poszedł za nią w bramy piekła!

„Luby! o, tyś taki zimny,
Gdy cię pieści twoja miła...“
Tak mówiła — i miłośnie
Rączką szyję mu owiła.

A on konjugował: „Kocham,
„Będę kochać nieskonczenie!“
Coż dziwnego? — śliczna buzia —
A więc kochał — i szalenie!

Po miesiącu niewidzenia,
Drżący ściska rączkę białą.
Ona niby odniechcenia
Przekrzywiła główkę małą:

„Idź pan! jesteś niedyskretny,
„Któż tak ciśnie rączkę białą!...“
I podała mu — chleb z masłem...
Nie wiem, co się potem stało!

Mimoza pudica.

(Fraszka napisana dla M...)

Jest kwiat na lada dotknięcie drażliwy:
Gorętsze tchnienie lica mu zapali,
Zblednie zwinąwszy swój kielich wstydliwy,
Drży liść drobniuchny, jak wieńce korali.

Tak i ty, droga, pod ogniem spojrzeni,
Jak kwiat Mimozy wstydliwa i cicha,
Chylisz drżąc lice, co się barwą mieni:
A gdy twój luby utarłszy nos wzdycha,
(Katar jest skutkiem miłośnych płomieni.)
Mówisz:
— Mój Boże! czemuż pan nie kicha?

...k ...ski.

MARSZ DO WŁOCH.

(Z Fed'kowicza.)

Zaświeć gwiazdko, moje zorze,
Oświeć góry cuda boże,
Hej jadę, jadę,
Za Dunaj pojadę,
Hej pojadę za morze!

Czy za Dunaj, czy za morze,
Skoroś żołnierz — milcz nieboże!
Oj hoja, hoja,
Taka dola twoja.
Hej hulaj że, nieboże!

Oj zahulam ja *kamraty,*
Gdy zagrają mi harmaty.
Hej hoja, hoja,
Ty dolo, ty moja
Matko moja, *maty!*

Oj matusiu, mój aniele
Poszedł syn twój na wesele.
Hej haju, haju,
Toż mi jakby w raju!
Hulam, piję wiele!...

Oj piłżem ja, wypił rzeki,
Spać położył się — na wieki.
Hej haju, haju,
Krwawy mój Dunaju!
Upiłem się na wieki...

Pan Marek.

Obrazek stereotypowy.

I.

Bohater choruje na brak oryginalności.

O godzinie szóstej po południu ruszyła lokomotywa z północnego dworca kolei wiedeńskiej. Był to wieczór chłodny, ciemny, w póżnej już jesieni. Zimny wiatr miótł tumanami kurzu i zwiędłych liści, i gubiąc się w zaułkach

wył przeraźliwie. Z trzeciem uderzeniem w dzwonek dworcowy, unosiła już para pociąg kolejowy, który w kilka chwil potem znikł zupełnie w ciemnościach nocy...

W jednym z ostatnich wagonów pierwszej klasy, siedział mężczyzna, otulony niedźwiedziem futrem. W wagonie nie było więcej nikogo. Nasz podróżny wcisnął się w najciemniejszy kąt wagonu, i od czasu do czasu wypuszczał z pod cylindra gęste kłęby niebieskiego dymu.

A więc dumał?... Niezawodnie.

Ale o czem?... Czy o podróży?... czy o przyjemnej porze jesiennej, i zimnym, do kości przejmującem wietrze? Nie. Więc może biedaczysko zostawił żonę i dzieci w dalekiej stronie i nierychło się z niemi obaczy? A może... może pożegnał bohdankę — przecudne jakie, zapłakane dziewczę, co tęskni teraz biedne za nim... w objęciach czulszego Adonisa!...

Nie zgadliśmy.

Nasz podróżny nie należał wcale do tak mocno romansowych ludzi; nie miał ani jednej kochanki z balady, nie żegnał się ani razu jak Filon lub rycerz Togenburg, nie marzył i nie cierpiał jak Werter... z tej najprostszej przyczyny — że się nie kochał!...

Ale cożem powiedział!... Jednem słowem przeciąłem cały interes powieści, jednem słowem zniechęciłem sobie moje czytelniczki, pozbawiłem jedynego uroku, jakim mógł jaśnieć mój bohater!...

Bohater bez bohdanki?!...

Bez serca!.. bez miłości!... zgrozą przejęta zawoła nie jedna młodziutka (nb. zakochana) czytelniczka. Tak jest -- niestety! Mój bohater nie kochał się nigdy, a jeżeli nawet kiedy gotów był przysiądz, że kocha — to i wtedy łudził siebie i innych! Zresztą, mogło to być... ale już dawno, bardzo dawno... a co było dawno, to w dojrzalszym wieku, z czystem sumieniem nazwać możemy: dziecińswem!... Nieprawdaż?...

Pan Marek wracał z Paryża.

Wracał do ojczyzny na wschód, ku trzem mogiłom nad Wisłą, po kilkoletnim pobycie za granicą. Zapewne wiózł ze sobą drogocenne pamiątki: trzewik najpiękniejszej baletniczki, rękawiczki najcudniejszej śpiewaczki z teatru opery, i najnowszego kroju żakiet?...

Być może. Chociaż szczerze bym nie chciał, by mój bohater miał być tak mocno stereotypowym!...

Rodzina pana Marka mieszkała w Galicji. Ślepo kochająca go matka, powodowała się mniej więcej zachceniami syna, który był dla niej zdrowiem, szczęściem, całym światem...

Ojciec Marka nie żył. Był to zacny gospodarz, troskliwy o dobro rodziny ojciec, który zapewniwszy jej los, spokojny rozstał się z tym światem. Marek był jedynakiem-pieszczochem... rósł pod troskliwą opieką macierzyńską, rósł w siły fizyczne, rozwijał się bardzo prędko, ale tylko fizycznie. Wychowanie niewieście wyrabiało w nim słabego ducha. Przedwcześnie marzący, chwiejny, zapowiadał i przyszłość podobną. Brakowało mu przeważnie realnych w umyśle podstaw. Matka tego nie widziała — bo była matką!... a tego dość, ażeby widzieć tylko najlepsze w swoim jedynaku!... A co później?... jaka na starość pociecha?... najnieszczęśliwsze one potem, biedne te matki!...

Razem z Markiem wychowywała się sierotka, Marja, córka zmarłego przyjaciela ś. p. ojca Marka.

Nieboszczyk pan Jan Jarczyński przysiągł umierającemu przyjacielowi, że będzie drugim dla Marji ojcem; dziś żona jego zastępowała jej godnie serce matki.

Było to dziewczę ciche, łzawe, któremu łez sieroctwa troskliwa opieka macierzyńska nie otarła z oczu; rzadko kiedy uśmiech zaigrał na tych drobnych usteczkach, które częściej nawykły składać się do płaczu.

Dwoje dzieci przywiązało się do siebie bardzo. W pewnej uroczystej chwili szesnastoletni Marek i dziesięcioletnia Marja przysięgli sobie wiecznotrwałą miłość. Byłoto na wiosnę w maju, miesiącu kwiatów, młodości zachwytu i złudzeń... słowik nucił nader romantycznie w ogrodowym gdzieś kląbie, na świecie było zielono, wesoło, pięknie, kiedy u stóp mamy, siedzącej na darniowej kanapce w ogrodzie, Marek przyjął od Maryni kwiat róży, jako zadatek pierwszej miłości.

— Mamo!... — mówiła Marynia — nieprawdaż, Marek będzie moim mężem?...

— Będzie, będzie! Wszak prawda? mameczko!... — dodał żywo Marek.

— Niezawodnie moje dzieci — mówiła matka z uśmiechem szczęścia na twarzy, puszczając wodze marzeniom o przyszłości dwojga dzieci.

— Marku... pamiętaj... schowaj kwiatek... — mówiła z nadzwyczaj poważną minką Marynia — pokażesz mi go kiedyś!...

Słowo k i e d y ś było powiedziane nie bez pewnego już znaczenia.

A malec mówił tonem, jakim się mówi bohdance: »kocham cię nad wszystko!«

— Pokażę...

I powtarzali sobie swoje przysięgi dziesięcioletni kochankowie — szczęśliwi!... Przynajmniej w dziesiątym roku życia niechaj im wolno będzie s z c z e r z e przysięgać!...

Jednak *tempora mutantur*...

Płynęły dnie, miesiące, lata, a z niemi ostygał powoli serdeczny stosunek między małymi kochankami. Na rzucającym się, niestałym umyśle Marka nie' mogła wywrzeć Marynia silniejszego wrażenia. Przywiązał się on do niej jak brat; wspólne jednak wychowanie, razem przepędzone lata pierwszego dzieciństwa, zdejmowały powoli z dziewczynki ów nieokreślony urok, jakim otaczają szesnastoletni marzyciele dziewicze postacie. Marek w szesnastym roku życia przeczytał już wiele powieści i romansów, a żadna z wymarzonych przez niego Beatrycze nie była podobną do Maryni... Im więcej dorastał, tem więcej tracił z owego czaru, który go w dziecięcych latach wiązał z małą rówieśniczką.

Marynia tymczasem wyrastała na śliczną dziewczynę. Był to jeszcze podlotek; ale cudny! pełen tej świeżej wiosennej dziewiczości, tej swobody niewinnej, co tak prędko znika... a znika bez śladu!...

Przy zajęciach umysłowych, przy pracy nad książką i fortepianem, nie zbywało jej czasu na ulubione zatrudnienia gospodarskie. Marynia w piętnastym roku życia była już nieporównaną gosposią. Kluczyki od spiżarni nie opuszczały jej rąk; na głos jej dźwięczny z ganku, zlatywały

się z dziedzińca kury, indyki, faworytalne kochinchiny, dostawały ziarno z białych dłoni; ulubione krówki biegły za swą panią, która miała dla nich zawsze chleb osolony w kieszonce. Słowem młodziutka sierota była prawą ręką sędziwej matki Marka, do której przywiązała się miłością większą może, aniżeli jaką niejedne córki matkom swym okazują. Biedna sierota, czem mogła, odwdzięczała się troskliwej swej opiekunce. A że niemiała nic więcej, prócz serca, więc całe oddała sędziwej staruszce.

Czy całe?...

Zaręczyć trudno... Było tam kilka wiośnianych rojeń, prześliczny wianek marzeń — poświęcony komuś...

Komu?... Obraz jego dziewicze serce chowało głęboko gdzieś na dnie...

Marja kochała przybraną matkę swoją sercem, które więcej już i silniej kochać nie potrafi. Ona ukochała w niej pamięć tej matki swojej, której głosu nigdy nie słyszała w swem życiu, a o której sędziwa pani Janowa tyle jej nieraz opowiadała. Ten biały anioł dobroci, to uosobienie cierpień i miłości — kobieta, która przeżyła krótkie chwile z swym ukochanym mężem, by cierpieć i w boleści umrzeć, był duchem opiekuńczym Marji od pierwszych lat dziecinnych. Pani Janowa ze łzami w oczach opowiadała pięcioletniej sierotce o zmarłej matce. Dziecię wyciągało małe rączęta, i szukało pomiędzy gwiazdami białego ducha swej rodzicielki. A staruszka ocierała jej łzy sieroce z liczka, i tuliła do piersi.

Więc nie dziw, że cała siła uczucia w sercu sieroty skierowała się ku niej.

Z wspomnień pierwszych dni dziecięcych, z uwiędłych kwiatów, pozostało w serduszku tem kilka marzeń... Były to pamiątki dziecięcej przyjaźni z Markiem. Młode a już cierpiące serce dziecka chętnie odpowiadało uczuciom chłopaka, któren wtenczas może czuł jeszcze i myślał podobnie... Ale dzisiaj... było to już dlań niepodobieństwem! Marynia zdawała mu się już za prozaiczna, za powszednia, jak małym i ciasnym był już dlań rodzinny dworek, z którego okien wzdychał do świata!...

A świat ten nieznany, z małych okien dworku w Brzozowie, jakże mu się pięknym wydawał!... Jakże był rad co prędzej wylecieć daleko, daleko, gdzie więcej życia, więcej ludzi... gdzie nie tak ciasno, duszno, jak w niskich pokoikach ojczystego domku!...

Marzenia te ośmnastoletniego chłopaka wzrastały z każdym dniem olbrzymio. Nie wystarczała mu już miłość i pieszczoty matki, gniewało przywiązanie Marji, któremu odpowiadał roztargnieniem i obojętnością, męczyło i nudziło go życie w domu. Marek nie wiedział, co to p r a c a. Pędził dzień za dniem, gonił za zabawami, za przyjemnością, za rozrywkami... Ostatecznie to mu nie wystarczyło. Pewnego dnia postanowił zmienić dotychczasowy tryb życia. Pomimo łez i prośb matki, mimo perswazyj Marji, oświadczył, że wyjedzie z domu...

Dokąd?... Do — Paryża.

Tam wyśnione ideały spodziewał się znaleźć w rzeczywistości, tam wypełnić miał czczość życia, zmarnowanego pod ojczystą strzechą...

Matka i Marja pozostały same. (C. d. n.)

Korespondencje.

Paryż, *20. marca 1868.*

Jeżeli czytelnik pozwoli, przejdziemy się trochę po Paryżu, zwłaszcza, że jeszcze zima dogorywa i na wieś zawcześnie. Nie bardzo przyjemna przechadzka i po Paryżu teraz... Błoto, a szczególniej ten Hausmann ze swojem burzeniem Paryża pozagradzał ulice, pozbijał domy, i często po gruzach trzeba przełazić; wapno zaś rozpuszczone w wodzie nie bardzo przyjemne robi wrażenie, i obówie psuje. Oto wprost od mojego mieszkania wycięli szeroką, długą, równą ulicę, po bokach której jeszcze domów nie ma, pośrodku rozsypany szczepiony kamień na chossée, a chodniki żółtym piaskiem posypane, miękkie ale grząskie do chodzenia.

Nie mogę dójść: co ci biedni francuziska zrobili temu niemcowi, że on ich tak prześladuje!... postanowił zburzyć ich wielką stolicę, ale to ze szczętem, że kamień na kamieniu nie zostanie. Zdziera miasto z ostatniego grosza; gdybyż tylko to zabierał co mają, ale robi im takie długi, o jakich ani się filozofom starożytnym śniło, ani my zamarzyć możemy. Oto w chwili obecnej, rozpoczętych robót jest na półtora miljarda franków! Łatwo to powiedzieć, ale nie łatwo taką sumę zobaczyć, choćby Rotszyldowi. Zmówili się w roku przeszłym Francuzi i chcieli niemca wypędzić, zrobić go ministrem lub czemś podobnem, i szukali mu zastępcy, ale nie znaleźli; był wprawdzie śmiałek prefekt z Rouen, ale jak zobaczył rachuneczki pana Hausmana zwinął chorągiewkę i dalej w nogi. Radzi nie radzi poddali się Hausmannowi, który powiada, że za lat kilkadziesiąt postawi im Paryż drugi, który będzie cudem świata, jakiego dotąd nie widziano i co nadto, że długów nie będzie. Czyja wola niech poczeka, a obaczy czy Hausmann jest słownym, czy nie.

Najwięcej są oburzeni rewolucjoniści, którym było tak wygodnie w starym Paryżu w ciasnych i krętych uliczkach budować w mgnieniu oka niezdobyte barykady; teraz ani pomyśleć o tem, bo i kamieni nie ma, i ulice szerokie i lada baterja zniesie wszelkie usiłowania barykad.

Dopiero dziesiątek lat skończył się gospodarowania Hausmanna, a już znaczna część Paryża albo w gruzach spoczywa, albo zamienioną jest w bulwary i ulice nowego planu. Dziś jednak można jeszcze mieć dokładne wyobrażenie, co to był za Paryż przed dziesięciu laty. Uliczki wąziutkie, domy wysokie tak, iż w ulicy ciemno prawie, a do wielu mieszkań słońce nie dochodziło, brudno na ulicy, brudno na dziedzińcach, na wschodach i mieszkaniach. Przeludnienie ogromne, a wskutek tej ciasnoty chorobska rozmaite, kalectwa od urodzenia, śmiertelność niesłychana. (Patrz kalendarz Naukowy Lougie'go za rok 1865, gdzie są wykazane różnice śmiertelności w starych kwartałach i w nowych.) To wszystko nie bardzo jest dopatrzalne dla oka, bo Paryż nie proporcjonalnie wzrasta przez ludność napływową, ale statystyka daje smutne świadectwo dla starego Paryża. Za to wejdźcie na nowe ulice: Bulwar Sebastopolski, św. Michała, ulicę Lafayette i niewiele innych ukończonych, a zobaczycie to, czego nie ma nigdzie w Europie. Pięknie, czysto, przestronno, a w dodatku zdrowo. Inne ulice smutny jeszcze przedstawiający widok, zadziwiają tylko olbrzymiemi rozmiary, na jaką robota jest przeprowadzaną.

Architektura coraz wymyślniejsza; czem nowszy dom tem piękniejszy, tak iż po kilkudziesięciu leciech, kiedy cały, nowy jak z igły stanie Paryż, dzisiejsze paradne bulwary chyba na nowo potrzeba będzie przebudowywać!... dziś już domy budowane przed dziesięciu laty licho wyglądają przy nowych.

Jakie to przebudowywanie pociąga za sobą koszta osądzisz łatwo czytelniku z kilku przykładów. Zakłada ktoś sklep, wydaje na to tysięcy sześć, dziesięć, i zmuszony jest z zarobku przeżyć z rodziną i opłacić służby, więc ma intraty najmniej trzy, cztery tysiące; potrzeba dom burzyć; przychodzi komisja oceniająca, która nie pyta ile jest dochodu? ale uważa, że sklep przy dobrym stanie mógłby przynieść dziesięć tysięcy; oblicza szkody ze straconego czasu, z przenosin i t. d. i kładzie normę pietnaście; liczy po pięć od sta i wypłaca właścicielowi trzykroć sto tysięcy franków. Oto jeden szewc zebrał parę tysięcy franków, i za nie zakupił ku brzegom miasta kawałek ziemi, uprawiał ją i z tego żył. Wypadło przeprowadzić przez jego grunta bulwar i zakupić ziemię pod domy — dziś ten szewc ma ośmnaście tysięcy renty.

Wartość ziemi wzrasta; Hausmann kupuje znacznie taniej, sprzedaje drożej, podwyższa opłaty i tak kieruje się, że powiada, iż ku końcowi przebudowywania, wydatki wrócą do kasy miasta. Korzystają poszkodowani właściciele i kupcy, i wcale nie szkodują swoich domów. Ale sprobujcie wynająć w nowym domu mieszkanie. Wyrobnicy i wogóle klasa biedniejsza, która nic nie miała, odpowiada: zmuszeni są drapać się na szóste i siódme piętro, gdzie znajdują czysty pokoik, bardzo porządnie obity, i płacą zań trzy razy drożej, aniżeli przed dziesięciu laty za wygodne mieszkanie. Paryż przebudowuje się kosztem klasy najuboższej, a kto ma jakie takie pieniądze, staje się bogaczem. Jest to taż sama rewolucja 89 roku na korzyść *borgoisi.* W każdym jednak razie dobrze robią, że Paryż przebudowują; uregulowanie finansowe z konieczności nastąpić będzie musiało, bo za dużo będzie panów, i biedacy ich wyżywić nie potrafią,

Słabą stroną p. Hausmanna, a sądzę, że tem chce się pochlebić Napoleonowi, są kościoły i koszary; tego buduje się bez miary, na każdej prawie ulicy. Prawda, że kościoły mają śliczną architekturę, miło jest na nie popatrzec, ale za drogo kosztują widoki; zawsze jednak korzyść przynoszą... Ale koszary — to już żadnej, bo są obrzydliwe! Ogromne kwadratowe gmachy, z kwadratowemi prawie brzydkiemi oknami, pozostaną smutnym zabytkiem, i chyba milion wojska będą utrzymywać w Paryżu, tak ich dużo się buduje. Nie gniewałbym się i za to, bo mogą się zdać na domy przytułku dla biednych, na szkoły, na szpitale; lecz poco takie brzydkie?

Ale oto spotykamy rzecz bardzo piękną i pożyteczną, za którą najwięcej krzyczano na Napoleona. Opera wielka i akademja muzyczna. Zapewne, drogo kosztować musi; daleko jednak mniej niż kościoły, albo koszary, nie zupełnie dotąd wykończone. Nie ma się czego dziwić, że jest piękną, bo o to starano się przedewszystkiem; chciano zachwycić świat cały i przyszłe pokolenie. Chyba to tylko można powiedzieć, że m ó g ł b y być piękniejszy, złota za dużo. Zresztą o tem potem. (D. n.)

Rozmaitości.

* Wyrok konkursu teatralnego ma być ogłoszony po świętach wielkanocnych.

* Pan Bronisław Komorowski napisał dramat historyczny w 5 aktach p. t. *Hieronim Radziejowski.*

* Pod nazwą G w i a z d a zawiązało się u nas Stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej, ku wspólnej nauce i rozrywce, z zamiarem zawiązania Stowarzyszenia wzajemnej bratniej pomocy.

* M o j e d o b r e c h ę c i. Pod tym tytułem wydał p. T. Ostaszewski zbiór bajek i powiastek dla ludu, które byłyby bardzo dobre, gdyby nie raziły zbytnią tendencyjnością. Prawie cały zbiorek, śpiewa jedną piosenkę: „Las, pastwisko, pan, chłop!...“ Poco to wszystko! Bajeczką, sentencją moralną złego nie naprawimy. Żyjmy inaczej! czynem złóżmy dowód, że innymi jesteśmy — a wtedy nie będziemy potrzebowali udawać się do bajeczek!

Że autor ma talent i mógłby rzeczywiście pożyteczną książkę napisać dla ludu, przekonywa „Sąd przy wódce“ któren to wierszyk jest najbardziej udatnym z całego zbioru, i może dla tego właśnie, że autor nie broni w nim lasów i pastwisk.

Oto jest ten wiersz:

Urząd wiejski siadł za ławą.
Będą sądzić — będzie prawo.
Wójt ogłosił wyrok krótki:
„Biłeś, Bartek — każ dać wódki!
Maciek zaczął... Choć był biły —
Niech da kwartę okowity!
A świadkowie, bez wymówki,
Dadzą garniec anyżówki!...“
Wójt obwołał koniec sprawy —
I potoczył się pod ławy...
Coż się stało owej chwili?
Oskarzeni w ó j t a z b i l i!
Wódka silna: razem z ławą,
Wyrzuciła oknem prawo!
Ztąd nauka idzie krótka:
„Nie rozświeci sprawy — wódka!“

* My tu spokojnie drzemiemy pewni, że agitacjom moskiewskim w kraju możliwy kres położono, a za plecami u nas moskwicyzm szerzy się aż miło!... Węgrów ledwie że na ołtarze nie stawiamy, a ci serdeczni przyjaciele hodują u siebie żmiję, która ich i nas otruć może... W żadnej z ziem słowiańskich moskwicyzm tak hardo nie nosi głowy, jak w Węgrzech, pomiędzy słowakami i rusinami. Pierwsi, od lat kilku zorganizowaną falangą posuwają się na przód, z organem swym „Peszt-Budińskie Wedomosti“ na czele... a nasi bracia rusini, za nimi w ślady, dalejże do m a t u s z k i!... Nuż wydawać moskiewskie kalendarze! nuż bazgrać wierszydła, których by się ś. p. Trediakowski nie powstydził!... wreszcie sklecili lichotę wzbudzającą litość p. t. „Swiet“ piśmidło perjodyczne; a teraz, korzystając ze swobód uzyskanych przez Węgrów, przystępują do wydania książki moskiewskiej „Kratkij sbornik“ dla ć w i c z e n i a s i ę w j ę z y k u m o s k i e w s k i m... O, to prawda szanowni bracia zakarpaccy, że wam potrzeba *ćwiczenia!...* Może też i dla tego tak tęsknicie do Moskwy, że ona tylko umie go swym w i e r n o p o d d a n y m udzielać nie skąpiąc!...

* Londyn, to miasto światowe, to zbiorowisko wszystkich handlarzy, jest oraz szkołą najznakomitszych oszustów, którzy mają tam szerokie pole do popisu ze swymi zdolnościami. Jeden z tej kategorji prowadził życie wystawne, utrzymując się z fałszowania metryk śmierci dla rodzin, które poszukiwały straconego członka. Gdy jakie ogłoszenie tego rodzaju pojawiło się w dziennikach, udawał się natychmiast do interesowanych, opowiadał szczegóły śmierci i obowiązywał się — za grube pieniądze — dostarczyć pożądanego częstokroć aktu. Policja Londynu, posiadająca antidotum na podobnych ludzi, umieściła ogłoszenie imieniem pewnej matrony wciągniętej w porozumienie z policją, iż poszukuje syna. Natychmiast zjawia się rzeczony jegomość, dobił ugody z stroskaną matką i dostarczył jej dowodu śmierci, oczywiście fałszowanego. Na tym uczynku schwytała go policja i oddała sądom do wymierzenia sprawiedliwości.

* Wszystkich teatrów niemieckich, na całej kuli ziemskiej jest 346 w 304 miastach. Jak na plemię tak bardzo rozmnożone jest ich nie zbyt wiele.

* Poniedziałkowy wieczór Towarzystwa muzycznego mniej zadowolnił publiczność, aniżeli poprzednie. Kwartet Schumanna Es-dur szedł bardzo kulawo... Gra artystów w ogóle, a p. Jachimowskiego w szczególe pozostawiała wiele do życzenia. W duecie z „Purytanów“ (tekst niemiecki) i w solo z tekstem francuzkim śpiewał p. Lierhammer głosem pełnym i dźwięcznym; w śpiewie jego znać dobrą szkołę. Trio Gounod'a na fortepian, fisharmonię i skrzypce, na żądanie zostało powtórzonem przez artystów. Wieczór zakończył p. Mikuli wybornem odegraniem allegro z sonaty Chopina — i znowu on sam tylko wyszedł z koncertu zwycięzko. Ależ my od Towarzystwa mamy prawo czegoś więcej wymagać, aniżeli gry jego dyrektora!... Gdzież orkiestra, chóry, śpiewacy polscy? gdzie dzieła mistrzów?... kiedy nie słyszymy porządnie wykonanego kwartetu!... Od dziesięciu lat czyliż postąpiło Towarzystwo? czyliż się nie cofnęło?... Oto pod jego bokiem, jak grzyby po deszczu, wyrastają stowarzyszenia, chóry, szkoły; a instytucja krajowa w jakimże znajduje się stanie? Czas, wielki czas złemu zaradzić!

* W Wiedniu skonsumowano w roku upłynionym: 312.696 wiader wina, 820.492 wiader piwa, 97.998 sztuk bydła rogatego, 145.600 cieląt, 31.717 baranów, owiec i kóz, 42.156 jagniąt i prosiąt, 7015 warchlaków, 99.464 wieprzów ważących więcej niż po 40 funtów, 119.751 zające, 1,197.267 centnarów mąki, chleba i innego pieczywa, 292.843 centnarów kartofli, 28.060 centnarów jarzyn, 173.653 centnarów owoców, 329.789 sztuk drobiu, 709.244 par dzikiego ptactwa i gołębi, 49,200.000 sztuk jaj. Drzewa opałowego zużyto 89.602 sążni kubicznych, 74.136 centnarów węgla drzewnego i 2,725.348 centnarów węgla kamiennego.

* W Wiedniu zdarzył się tegorocznego karnawału komiczny wypadek, o którym w wielu kołach mówiono. Dwóch 16 letnich gimnazjalistów zakochało się na zabój w dziewczynce dość zwyczajnej. Ta, od obu odbierając platoniczne objawy miłości, łudziła ich zarazem swą grzecznością, przychylnością i miłością, udając, że w każdym z nich szalenie zakochana. Jeden o drugim nie wiedział; zwierzali się sobie, wzdychali, opowiadali o swem szczęściu, o wierności swej kochanki; aż na balu karnawałowym tegorocznym, jednemu z nich owa uwielbiona Diana, który, marząc o swem złotem szczęściu, kołysał się w walcu, zimno odpowiedziała, że kocha i uwielbia jego towarzysza. Zdawało się mu, że niebo spadło na jego głowę! grzmoty, pioruny chciał wywołać, w końcu, przysięgając zemstę swemu towarzyszowi, opuszcza salę balową. Tysiączne plany przelatują mu po głowie; niedoświadczony młodzieniaszek, nie znający życia, kokieterji kobiet, pała cały zemstą, i wyzywa swego rywala na pojedynek. Posyła sekundanta, 15 letniego kolegę; umówiono broń, miejsce, godzinę. Pojedynek został rówież patetycznie przez 16 letniego, szczęśliwego rywala przyjętym. Niedaleko koszar kawalerji wyznaczone miejsce, przed miesiącem było świadkiem odbytego pojedynku. Dwóch 16 letnich gimnazjalistów, dwóch 15 letnich sekundantów, dwóch świadków i golibroda, zastępujący miejsce lekarza, ukazało się. Odmierzono 15 kroków, pistolety nabito śrótem; obrażony, wzgardzony kochanek zmierzył, ściągnął kurek — nie trafił na szczęście; — bohater wybrany przez kochankę zmierzył, wymierzył i trafił przeciwnika w piersi dwoma ziarnami śrótu. Pojedynek się skończył, ale gniew trwa, a śledztwo się rozpoczęło!...

* W Paryżu wyszło bardzo ciekawe dzieło p. t. „Upadek Europy.“ Autor tegoż dzieła bada i rozbiera przyczyny upadku społeczeństwa europejskiego. Pomimo ogromnego postępu cywilizacji, pomimo wielkiego rozwoju duchowego narodów europejskich, i pomimo wielkiej pracy umysłowej ludzkości, mnożą się także znamiona powolnego upadania, które każdego przyjaciela ludzkości muszą zastanowić. Te znamiona ogólne pokazują wolny, ale pewny upadek, jeżeli narody dalej na tej drodze kroczyć będą. Przedewszystkiem pouczające są daty statystyczne, tyczące się finansowego i moralnego życia państw europejskich. We Francji na 295 franków wydatku na wojsko, przypada tylko 11 franków na utrzymanie szkół. W Austrji na 270 franków wojskowych wydatków, przypada 19 franków na edukację. W Prusach tylko 14 franków. A zatem w trzech tych państwach wydaje się więcej jak dwadzieścia razy tyle na zniszczenie ludzi, co na ich wykształcenie. Lud płaci podatku 20 kroć więcej na wojnę, niżeli na szkoły. W Moskwie i Turcji rozchody na utrzymanie wojska a szkół są w stosunku jak 400 do 1. Co się tyczy długu, to każde dziecko które przychodzi na świat, bierze na siebie 250 franków długu państwowego. Stany Zjednoczone amerykańskie posiadające ludność tylko 6 razy mniej liczną, jak razem wzięte Moskwa, Francja, Anglja, Austrja i Prusy, wydają 20 razy mniej na administrację krajową, jak te ostatnie. Wydatek Stanów Zjednoczonych można rachować na 364,000.000 franków rocznie. Monarchje Europy potrzebują 10 miljardów rocznie. Ludność Europy jest tylko 9 razy większą jak ludność Stanów Zjednaczonych; rozchód państw europejskich nie powinien przechodzić 3.300,000.000. Ponieważ stara Europa lubi wystawność, więc dodajmy 700,000.000 a mamy dopiero 4 miljardy. Na cóż więc idą dalsze 6 miljardów? na centralizację i na biórokrację, które nie istnieją w Ameryce. Co za bogactwa możnaby za 6.000,000.000 nabyć, choćby tylko z procentów!... Każdy człowiek w starej Europie niepotrzebnie płaci po 22 franków rocznie za to, że nie ma takiej swobody a jaką amerykanie posiadają. Te 10.000,0000.000 rocznie rozchodzą się następnie: armia lądowa i morska pochłania 41 procentów, długi zaś 30 prct. Zostanie na administrację cywilną, na oświatę, handel i t. d. 29 prct. Takie społeczeństwo nie może upaść niżej. Europa płaci rocznie 3.300,000.000 franków na utrzymanie armji, a 2.500,000.000 na wypłatę długu. Te więc dwie rzeczy pożerają 6 miljardów. W Europie rachują 400 fortec, a około 100 uniwersytetów. Jedna Francja posiada 119 fortec, między temi 8 pierwszorzędnych. Austrja na 28 fortec, ma 7 uniwersytetów. Prusy na 30 fortec, mają 6 uniwersytetów. Moskwa ma tylko 7 uniwersytetów, to jest na 11,000.005 mieszkańców jeden uniwersytet, Austrja na 5,000.000 mieszkańców jeden uniwersytet, Prusy na 3,000.000 mieszkańców jeden uniwersytet, podczas gdy w republikańskiej Szwajcarji na każde 625,000 mieszkańców jest jeden uniwersytet. Liczba obłąkanych w Europie dochodzi do 300.000, z których na Anglję przypada 64.000, na Moskwę 36.000, na Austrję 35.000, na Prusy 23.000. W przecięciu w ostatnich 10 latach było co roku 193.000 przestępstw, z których 63.000 pod panowaniem moskiewskiego cara, a więc trzecia część występków popełniona w Moskwie. W Austrji było 41.000, w Anglji 25.000, we Włoszech 18.000, w Prusiech 7.000, we Francji 5.000 W państwie Kościelnym na 665 mieszkańców przypada jeden występca, potem następuje Austrja, za nią Moskwa i Hiszpanja. W Belgji, gdzie oświata już znacznie postąpiła, przypada na 10.107 mieszkańców tylko jeden przestępca. W Rzymie jest 3.900 księży, 2.000 zakonników, 2.100 kleryków, a zatem 25ta część ludności jest w stanie duchownym. W Hiszpanji jest 53.000 duchownych ojców, a tylko 41.000 wojska. W Anglji na 27,000.000 mieszkańców jest 1,070.000 żebraków niemających przytułku, i żyjących z dnia na dzień.

* Przed kilkunastu dniami przedstawił się Rossiniemu w Paryżu, pewien młody człowiek — kompozytor.

Maestro przyjął go bardzo grzecznie, i prosił, by mu zagrał co ze swoich kompozycyj.

Młody wirtuoz usiadł do fortepianu, zarzucił włosy w tył, i z twarzą natchnioną, a nie żałując rąk i nóg, począł grać... Używszy gimnastyki, oblany kroplami rzęsistego potu przestał, i zwrócił pytające spojrzenie na Rossiniego.

— Co to pan grałeś? — zapytał mistrz wirtuoza.

— Marsz żałobny — odpowiedział pytany. — Napisałem go na śmierć Majerbera. Jak go pan znajduje?

— Wolałbym — odpowiedział mu na to Maestro — ażebyś pan był umarł, a Majerber na jego skon napisał marsz żałobny...

Korespondencja Redakcji.

WP. Grzybowski w Krakowie. Czy mamy dalej posyłać? Za przesłane numera, pieniędzy nie otrzymaliśmy.

WP. Leon Schor w Huszczance. List Pana zapewnia natychmiastowe zwrócenie kosztów, a oto dotychczas nie otrzymaliśmy należytości.

Dodatek: „**Lilja wodna.**“ Śpiew z towarzyszeniem fortepianu.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.